

# Ekspansja apostolska

Cukrzyca Ojca powodowała ciężkie dolegliwości. Cierpiał na ciągłe bóle głowy, nienasycone pragnienie, miał częste nudności, nadwagę. Każdego dnia otrzymywał spore dawki insuliny w zastrzykach. Jednak nie tracił nigdy radości.

02-01-1946

Cukrzyca Ojca powodowała ciężkie dolegliwości. Cierpiał na ciągłe bóle głowy, nienasycone pragnienie, miał częste nudności, nadwagę. Każdego

dnia otrzymywał spore dawki insuliny w zastrzykach. Jednak nie tracił nigdy radości. Z właściwym sobie poczuciem humoru żartował na temat swojego podwyższonego poziomu cukru we krwi: „Powinno się mnie nazywać *Pater dulcissimus*”. Sprawiał wrażenie jakby nie martwił się tym, że jego choroba była nieuleczalna.

27 kwietnia 1954 roku Álvaro del Portillo, jak zwykle, zrobił mu zastrzyk insuliny i usiedli przy stole. Nagle Ojciec zwrócił się do niego:

„Álvaro, daj mi rozgrzeszenie”.

Ponieważ wyglądał dobrze, ksiądz Álvaro, nic nie rozumiejąc, odpowiedział:

„Ależ Ojczy, o czym Ojciec mówi?”.

„Rozgrzeszenie!”. Widząc, że ksiądz Álvaro nie rozumiał, zaczął przypominać mu słowa formuły:

„Ego te absolvo...”

Wtedy stracił przytomność, upadł na oparcie fotela a jego twarz zmieniała kolory z czerwonego na fioletowy, żółty i ziemisty...

Ksiądz Álvaro dał mu rozgrzeszenie i natychmiast wezwał lekarza, ale zanim przybył doktor, Ojciec powoli doszedł do siebie. Chodziło o szok anafilaktyczny. Na kilka godzin stracił wzrok, ale... został uleczony! W pełni uleczony. Wprawdzie niektóre powikłania pojawiały się w kolejnych latach, ale nie miał już cukrzycy. Lekarz, który zajmował się jego leczeniem, był zdumiony. Chorował przecież ponad 10 lat.

W siedzibie w Rzymie, przy ulicy Bruno Buozzi – znowu bez pieniędzy, zawierając Bożej Opatrzności, zachęceni przez wiele osobistości ze Stolicy Świętej – przez kilka lat mieszkali praktycznie na placu budowy. Początkowo musieli się

urządzić w małym budynku portierni, który nazwali pensjonatem, gdzie nie było nawet łóżek. W końcu budowa domu nabierała tempa. Domu, który jak mówił założyciel, nie będzie świecił bogactwem, ale będzie trwały, właśnie z miłości do ubóstwa: Villa Tevere.

Były to lata ekspansji Dzieła w Europie i do obu Ameryk. W roku 1946 niektórzy członkowie Opus Dei rozpoczęli pracę apostołską w Portugalii, we Włoszech i w Wielkiej Brytanii. W 1947 roku przyszła pora na Francję i Irlandię, a w 1949 na Meksyk i Stany Zjednoczone. W roku 1950 pojechano do Chile i Argentyny, w 1951 do Kolumbii i Wenezueli, a w roku 1952 do Niemiec. A ekspansja trwała nadal. Już w roku 1948 osoby z różnych krajów mogły spotkać się na wakacyjnych kursach formacyjnych.

Dzieło pasowało dobrze do wszystkich, tak różniących się od siebie miejsc na świecie, jako znak, że było rzeczą Bożą. Ludzie przybywali zewsząd, z najróżniejszych kulturowo i społecznie środowisk. Rodziła się potrzeba zapewnienia im odpowiedniej formacji. I tak w roku 1948, pomimo ciasnoty w Villa Tevere, święty Josemaría utworzył Rzymskie Kolegium Świętego Krzyża. Do niego mieli przybywać członkowie Dzieła z całego świata, na okres szczególnej formacji w samym sercu Kościoła i Opus Dei.

12 grudnia 1953 roku utworzył Rzymskie Kolegium Świętej Marii, które miało spełniać te same cele, tyle że dla kobiet z Opus Dei. Od tamtej pory w ośrodkach tych kształciło się już tysiące osób, a wielu mężczyzn zostało wyświęconych na kapłanów.

Kolejnym ważnym krokiem było to, że Dzieło otworzyło się również na współpracowników, którzy nie byli katolikami. „Opus Dei, od kiedy zostało założone, nie czyniło nigdy dyskryminacji: pracuje ze wszystkimi i żyje ze wszystkimi, gdyż w każdym człowieku widzi, duszę, której należy się miłość i szacunek. I nie są to puste słowa: nasze Dzieło [...], za zgodą Stolicy Apostolskiej, przyjmuje jako współpracowników również niekatolików i niechrześcijan”. Dlatego święty Josemaría mógł sobie pozwolić na żart, choć uczyniony z ogromnym szacunkiem, mówiąc do papieża Jana XXIII: „Ja nie uczyłem się ekumenizmu od Waszej Świątobliwości”, ponieważ niekatolicy, a nawet niechrześcijanie, byli współpracownikami Opus Dei jeszcze przed jego pontyfikatem.

Ojciec wysyłał swoich synów i córki do nowych krajów z tą samą ufnością

w Boską Opatrzność, z którą realizował dotychczas każdy nowy projekt. Posyłał ich bez niczego, podobnie jak i sam Jezus wysyłał swoich uczniów. Ale jego ojcowska troska towarzyszyła im zawsze. Ojciec udawał się w długie i uciążliwe podróże, aby ich odwiedzić lub by przygotować teren (poprzez modlitwy, jak również rozmowy z władzami kościelnymi) przed ich przyjazdem. Już w 1945 roku siostra Łucja, wizjonerka z Fatimy poprosiła go o rozpoczęcie działalności Dzieła w Portugalii. W 1949 roku Kardynał Faulhaber przyjął Josemarię Escrivę w Monachium i poprosił go, aby Opus Dei rozpoczęło działalność również w Niemczech. Następne w kolejności były Zurych, Bazylea, Bonn, Kolonia, Paryż, Amsterdam, Louvain i wiele innych miast.

Przybył też do Wiednia w czasach, gdy sowieccy żołnierze na ulicach stanowili powszedni widok. Tam, w

austriackiej stolicy, zaczął zwracać się do Maryi aktem strzelistym *Sancta Maria, Stella Orientis, filios tuos adiuva!* („Święta Maryjo, Gwiazdo Wschodu, pomóż swoim dzieciom!”), myśląc o krajach pozostających pod władzą komunistów po II wojnie światowej. Podróżował niezbyt wygodnym samochodem, drogami umęczonymi wojną, umilając podróż swoim kompanom, nucąc piosenki i żartując. Często modlił się na głos w samochodzie, komentując słowa Pana: „Ja was wybrałem, abyście szli i owoc przynosili i aby owoc wasz trwał”. Trasę podróży wykorzystywali też, aby odwiedzić sanktuaria Maryjne.

Na przełomie lat 50–tych i 60–tych założyciel podróżował wielokrotnie na kilka tygodni do Anglii. Pokładał w tym kraju swoje nadzieje ze względu na jego akademickie tradycje i jego wpływową pozycję w



świecie. „Ta Anglia to piękna rzecz”, pisał. „Jeśli nam pomożecie, będziemy ciężko pracować na tym skrzyżowaniu świata: módlcie się i ofiarujcie z radością małe umartwienia”.

W sierpniu 1958 roku spacerował ulicami City, biurowej dzielnicy Londynu. Zrobiła na nim duże wrażenie obecność tylu potężnych instytucji i banków. Czy byłoby możliwe przynieść i tutaj światło Chrystusa, ducha Dzieła? Czy ten ogromny przepływ ludzi różnej rasy i nacji, wpisany był rzeczywiście w świat chrześcijański? Odniósł wrażenie, że tutaj wszystko było jeszcze do zrobienia i poczuł ciężar swojej słabości.

„Ja nie dam rady, Panie, nie dam rady!”. Ale Bóg dał mu do zrozumienia:

„Ty nie dasz rady, ale Ja tak”.

Jego rozkład dnia nie zmieniał się wiele podczas lat w Rzymie.

Ponieważ z natury był bardzo uporządkowany i starał się też o tę cnotę, umiał pomnożyć swój czas.

Wstawał wcześnie rano i wraz z grupą swoich synów czynił półgodzinną modlitwę myślną. Później odprawiał Mszę świętą, która była centrum i rdzeniem nie tylko całego dnia, lecz całego jego życia. Podczas skromnego śniadania przeglądał krótko codzienne gazety, co było również chwilą intensywnego zjednoczenia z Bogiem, poprzez akty dziękczynienia i pokuty.

Wspólnie z ks. Álvaro, ówczesnym sekretarzem generalnym Opus Dei, pracował nad zwykłymi sprawami, związanymi z zarządzaniem Dziełem. Z całego świata przybywały sprawozdania, zapytania i plany apostolskie. Ojciec był

przyzwyczajony do natychmiastowego odpowiadania na korespondencję.

Przed obiadem często przyjmował gości, którzy przybywali w poszukiwaniu rady i modlitwy oraz jego serdecznego usposobienia. Byli to ludzie z całego świata, należący lub nie do Opus Dei. Wszyscy wychodzili od niego pocieszeni. Po obiedzie pozostawał na rodzinną konwersację ze swoimi najbliższymi współpracownikami lub studentami Kolegium Rzymskiego. Potem powracał do pracy, modlitwy, odmawiania różańca, nauki i przygotowywania swoich pism.